



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

### OD WYDAWCY.

Początek drukującej się obecnie w dodatku do „Bluszcza” powieści

pod tytułem:

## Czy to miłość.

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie.

### DZIECI

na wystawie higienicznej w Warszawie.

Tegoroczna wiosna przyniesie jak zazwyczaj „żywą wodę”, deszczyk majowy, zieloną, strojną szą przyrody, pierwiosnki, sasanki, fijołki, białe puchy kwitnących drzew owocowych, zapachy bzów i jaśminów; tegoroczna wiosna przyniesie nam inną jeszcze żywą wodę, a kto jej zaczerpnąć i użyć potrafi, będzie młody, piękny, silny, dzielny: obudzi się ze snu odrętwienia, a „wszelkie zaczarowanie” zaraz zniknie i ustanie; tegoroczna wiosna przyniesie nam... wystawę higieniczną.

Życiodajne słońce wiosenne budzić będzie równocześnie naturę i plac wystawowy: wyrosną z pod ziemi pałace zakłete i ogrody, — zaszumią wodotryski i zabrzmią kapele, — zaślni światło elektryczne i zadzwieczą dzwonki tramwajów, zwożących tłumy żywej wody żądne; a kto tam wejdzie, wyjdzie odmłodzony... nie młodszy zapewne, ale odmłodzony.

Dowodzie znaczenia i doniosłości wystawy higienicznej byłoby wywierać drzwi, dawno już wyważone; pojął to dobrze rozumny zarząd miasta Warszawy, udzielając placu (przy torze wyścigowym) z przeznaczeniem go w przyszłości na park miejski, — wyznaczając wysokie sumy na urządzenie, nie szczędząc zarządowi wystawy, z prywatnej inicjatywy powstałemu (Redakcyja Zdrowia), wszelkich ułatwień i pomocy. Rozumieją to dobrze ludzie dobrej woli, śpiesząc z ofiarnością; tak np. kosztem prywatnym wzniesiona będzie wzorowa hala gimnastyczna na pomieszczenie działu wychowawczego.

Będzie wystawa higieniczna, — jakąż wystawa może być ważniejsza nad tę; — „szlachetne zdrowie,” cóż jest droższego nad to. Wszelkie inne wystawy, jako turnieje producentów, wpływają na publiczność pośrednio; wystawa higieniczna w wielu względach wpływa na nas bezpośrednio, dając wskazówki, naukę do doraźnego zastosowania na nas samych, a co ważniejsza, skuteczniejsza, na naszych dzieciach.

Jak szybko rozszerza się pierwotny, dość skromny zakres wystawy higienicznej, zapoczątkowanej w roku zaprzestłym, jak szersze i coraz szersze ogarnia ona koła lekarzy, fachowców, producentów, publiczności — opowiemy może innym razem; tymczasem zamierzaliśmy powiedzieć słów parę o *dzieciach na wystawie*.

Dalecy jesteście od projektowania czegoś podobnego, co bywało na wystawach powszechnych,

mianowicie — pawilonu dzieci; na to ani środki ani czas ani zakres zresztą naszej wystawy nie pozwalają: — niemniej przeto dzieci i wszystko co dla dzieci znaleźć powinno i znajdzie odpowiednie przedstawienie, zastosowanie. Sekcyja wychowawcza nakreśliła dość szeroki plan w tym względzie, niektóre rzeczy już przygotowała, inne przygotowuje, nie poprzestając naradzać się nad sposobami uczynienia działu dziecięcego coraz więcej interesującym tak we względzie naukowym jak i praktycznym.

Dowodem żywotności tej sprawy niech będzie wiadomość, że przed paru tygodniami weszło do tej sekcyi grono lekarzy pedyatrów, że za ich inicjatywę utworzono komisję, mającą się zająć sprawą dzieci na wystawie, nazwijmy ją — komisją dzieci. Sprawa to ważna, obchodzi ona wszystkich, nieobojętnych na dobro dzieci własnych czy cudzych; wszyscy też, żywo nią zainteresowani, mogą i powinni do współudziału przystąpić. A czas wielki po temu, albowiem przyjmowanie deklaracji wystawców zarząd wkrótce ma zamknąć.

Działanie komisji dzieci objawi się w kilku kierunkach:

- 1-o przedstawienie spraw zdrowotności dzieci w sposób naukowy.
- 2-o obmyślenie najodpowiedniejszych sposobów zajęć i zabaw dla dzieci, przybywających na plac wystawy,
- 3-o kontrolowanie odnośnych wystawców.

Pierwszy punkt jako specjalny pomijamy w tej chwili, idzie nam o dwa następne z nadmienieniem, że pomijamy tu także zaprojektowane lekcje wzorowe zajęć freblowskich i ćwiczeń gimnastycznych, mające się urządzić przez znane publiczności specjalistki i specjalistów z dziatwą, wyćwiczoną w ich zakładach.

Już na przeszłej wystawie higienicznej widzieliśmy całe zastępy dzieci na placu wystawowym, których zabawami kierowano przygodnie, co wywołało słuszne zarzuty krytyki. Idzie o to, co zarząd wystawy



przez pośrednictwo swoich wydziałów w tym względzie obecnie przedsięwzięcie. Rzecz bardzo naturalna, że ani sekcja wychowawcza, ani jej podkomitet t. j. komisja dzieci stworzyć i puścić w ruch, tego aparatu w całości nie mogą, mogą tylko rzecz obmyśleć, nadać jej formy i kierunek odpowiedni, — zorganizować. Całość powstanie tylko wtedy, gdy zjawia się deklaracje wystawców, w tym kierunku. Mamy tu przedewszystkiem na myśli osoby fachowe w dziedzinie wychowania i nauczania dzieci.

Pragnęlibyśmy, aby bony, freblanki, nauczycielki, wychowawcy zadeklarowali w oznaczonych godzinach przyjmowanie pewnych kompletów dzieci takiego lub innego wieku celem takich lub innych praktyk wychowawczo-pedagogicznych. Odpowiednie pomieszczenie, rodzaj wynagrodzenia łatwo dałyby się obmyśleć. Pragnęlibyśmy, aby wystawcy zabaw i gier pedagogicznych odstąpili od rutyny przedstawienia swoich okazów pod kluczem; niechby wydawali niektóre okazy (porozumiewając się poprzednio) do wypróbowania ich w zastosowaniu. Przypuszczamy, że znajdzie się firma, która (podobnie jak na przeszłej wystawie) ustawi na placu przyrządy do gier rozmaitych; ale niechże tam będą osoby odpowiednio uzdolnione do informowania i kierowania.

Rodzice, przyprowadzający dzieci na wystawę, skorzystaliby niejedno, widząc, jak się ich dzieci obracają pod okiem ludzi fachowych, w towarzystwie rówieśników; możeby to było nawet ulgą dla takich, coby zechcieli powierzyć na pewien czas swoje skarby w ręce ludzi zawodu. A teraz zachodzi jeszcze pytanie, czy rodzice (zwłaszcza z prowincji przybyli) nie pociągliby skorzystać z porady lekarskiej, gdyby specjaliści w oznaczonych godzinach zechcieli jej udzielać w obrębie wystawy; — przecież ma to być wystawa *hygieniczna*. Może niejedno dziecko zdrowe na pozór, przedstawione lekarzowi, ochroni się od chorób i cierpień w przyszłości, gdy lekarz wskaże, co czynić, jak je żywić, jak wychowywać należy.

Spotkać nas może zarzut zwłaszcza ze strony freblanek, że zajęcie z dziećmi różnorodnymi, niewdrożonymi do porządku — przedstawia zbyt wielkie, niepokonane trudności. Na to odpowiadamy: nie o samą frebloszczyznę nam idzie, może nawet wypadnie całkiem wyłączyć z praktyk freblowskich dzieci przygodne. Plan nasz daleko szerszy niż ciasne koło warszawskiej frebloszczyzny i jej tabulatura. Pragniemy przedewszystkiem zabaw dzieci, zabaw swobodnych, nie szablonowych, — ruchów na wolnem powietrzu, gier zbiorowych, pochodów i ruchów gimnastycznych i wogóle sportu młodzieży. Czy np. umiejętne urządzenie zbiorowych zabaw chłopców starszych (wysegi piechurów, palant lub jakie stare, zarzucone, a dobre ćwiczenia fizyczne) nie miałyby znaczenia. Czy np. wykłady pogładowe dla starszych dzieci przy zwiedzaniu odpowiednich działów wystawy nie przyniosłyby pożądaney korzyści. Ze względu na porę roku i inne warunki techniczne i materalne pominęliśmy tu takie praktyki jak wiosłowanie, łyżwowanie, jazdę konną i welocypedową. W czasie ostatniej wystawy paryskiej egipcjanie obsługiwali jazdę na osiekach, którą i starsi nie pogardzali.

Nie wątpimy, że znajdzie się pewna liczba osób, zamiłowanych w swoim zawodzie, szerzej zapatrujących się na znaczenie zabaw dzieci i młodzieży, jako na czynnik wychowawczy i higieniczny, które zechcą pokazać, jak taka rzecz wygląda w rękach biegłych.

Nie wątpimy, że znajdą się i tacy, którzy zdecydują się bezinteresownie poświęcić jedną lub drugą godzinę czasu dla naszych milusińskich. Może niejedni rodzice raczej na wystawę pójda szukać uzdolnionych wychowawczyń i wychowawców niż do kantoru rekomendacyjnego. Może dla niejednych będzie to najwięcej pouczający dział wystawy, jako uplastyczniający trudną, mało cenioną u nas, więcej niż inne fachowe zajęcia zanieczyszczoną przez fuszerkę, wypaczoną przez rutynizm, pracę wychowawczą.

A oto jeszcze jedna grupa zabaw dzieci i młodzieży. Rozpowszechniają się coraz więcej w Warszawie widowiska dla dzieci: sztuki magiczne, maryonetki, jasełka po zakładach dobroczynnych, szopka i t. p. Nie nowa jest myśl odczytów dla niedorośliwych. Czytamy coraz częściej o zebra-

niach dzieci po różnych klubach i o różnych wspólnych zbyt tłumnych zabawach, które, rzecz prosta, nie mogą zyskać poklasku pedagoga. Czy podobne rzeczy nie powinnyby przejść przez próbę, przez ogień krytyki na placu wystawy, a wypłynęłyby stąd niewątpliwie korzyści na przyszłość, wykreśliłyby się racjonalniejszy kierunek tego rodzaju zabaw. Dla czegoby przedsięwzięci, producenci odnośni nie mieli wystąpić z deklaracjami do zarządu wystawy.

Zorganizowanie zabaw i wszelkiego sportu na wystawie pociągnęłoby za sobą zdaniem naszym donośne następstwa. Plac wystawowy ma być zamieniony na park miejski, niektóre budynki pozostaną na miejscu; są to więc warunki jakby zgóry obmyślane na to, aby przygotować grunt pod ogród zabaw dla dzieci. Niechby teraz powstał związek, a przy współudziale ludzi dobrej woli znalazłyby się fundusze na rozwinięcie takiego ogrodu; byłby to najodpowiedniejszy i najtrwalszy pomnik drugiej wystawy higienicznej w Warszawie. Gromady biednych dzieci, nie mogących wyjechać na kolonie letnie, — a takich nigdy nie zabraknie — znalazłyby tu uzdrowisko fizyczne i moralne; byłoby to dopełnienie kolonii letnich, których szybki rozwój zaszczyt przynosi dobroczynności warszawskiej. Nie wstydzilibyśmy się wtedy wobec miast zagranicznych, znacznie nawet mniejszych od Warszawy, a szczytujących się ogrodami zabaw dla dzieci i młodzieży. Nie narzekalibyśmy na wrzaski band dzieciaków po ulicach w czasie lata, a może i zmniejszyłaby się liczba moralnie zaniedbanych dzieci i lista kandydatów do Studzińca.

Wł. Nowicki.

## POGA WĘDKA.

Dużo a dużo po dziś dzień mamy zwyczajów, którym wprost mimowiednie hołdujemy, bo nawykliśmy do tego od dzieciństwa, bo weszło to w krew naszą, stało się tradycją nie jednego, nie dwóch wieków nawet, ot, powtarzamy za panią matką pacierz, nie wiedząc zupełnie zkąd taki a taki zwyczaj powstał, nie łamiąc zresztą sobie głowy nad rozwiązaniem tej, bądź co bądź, ciekawej zagadki. Prawda, że częstokroć zagadka ta bywa nie do rozwikłania, bo porwały się wszelkie nici kłębka, a sam kłębek w dalekiej, przedhistorycznej nieraz zgubił się przeszłości.

Ciekawą jednak byłaby znajomość początku, tych zwyczajów trwających po dzień dzisiejszy, które już może zmieniły swoje pierwotne znaczenie w miarę łagodnienia obyczajów ludzkich i rozjaśniania się ich umysłów. Ta jasność nawet świecąca w głowach naszych, oczywiście nie przypisuje już żadnego znaczenia tym pozostałościom wieków zamierzchłych, znanym pod mianem ogólnem: zabobonów, bo którzy z rozsądnych wierzył, że pożegnanie się przez próg jest złą przepowiednią zerwania dobrych stosunków, że w poniedziałek źle rozpoczynać jakąś robotę, że sroka skrzecząca przed domem niepłonie przyjazd gości zwiastuje? Oczywiście, że temu wszystkiemu nie wierzym wcale, a jednak z uśmiechem zwracamy uwagę, gdy ktoś przez drzwi rękę do nas wyciąga i żegna w ten sposób: — „Oj, źle — powtarzamy sobie — zacząłem taką a taką robotę, a dzisiaj Poniedziałek!” — a już nie znam mieszkańca wsi, któryby posłyszawszy przyjemny skrzek sroczki natychmiast się nie odezwał:

— Goście przyjadą!

Zkąd się wziął zwyczaj na przykład, że gdy się daje szpilki prozonoj o to osobie, potrzeba tę osobę koniecznie leciutko ukłuć? I — dlaczego na Prima Aprilis oszukujemy się wzajemnie lub gdy staje zakład jakiś, przeciągamy prawicę a osoba trzecia przeciąć ją musi? O zwyczaju ukłucia szpilką nie wiemy, okpiwanie się wzajemne w dniu 1 Kwietnia, ma sięgać jeszcze czasów rzymskich, w których to jeszcze imperator, w dniu tym właśnie, boleśnie poigrał z panami senatorami, przyjmując ich uczcią żałobną, podczas której żałobne śpiewano pieśni, grobowe odprawiono tańce, i gdy goście cesar-

scy byli pewni jakiegoś krwawego zamachu na całość ich osób — wszystko zmieniło się nagle, bo osypani zostali bogatemi podarunkami, noszącymi napis 1-go Kwietnia. Przeciąganie i przecinanie rąk podczas zakładu, ma równie swoją tradycję. Niedgdy, gdy lud z ludem, lub plemiona graniczące z sobą, po długich walkach, zawierały pokój pomiędzy sobą, dwóch wybranych ku temu wojowników stawało na pograniczu posiadłości swoich i przeciągało ku sobie dłonie. Strona żądająca pokoju wyciągała prawicę opatrzoną kawałkiem skóry, zgadzająca się na pokój ujmowała ten zadatek przyjaźni, a trzeci wojownik, wybrany, jako świadek, mieczem czy nożem przecinał na dwie połowy ów znak sojusznicy. Rozciętą tak skórę unosili z sobą niedawni zapaśnicy, jako zakład wierności. Taki ma być początek tego dziś już zmodyfikowanego zwyczaju. Nie wiedząc nie o tem, gdy zakład jakiś staje, przeciągamy dłonie, a świadek trzeci je rozcina.

Imię pan Onufry kichnął.

— Na zdrowie! — mówimy.

Dla czego?

W piątek ma być dobry wszystkiego początek, kukulka równie swoim kukaniem wywróży coś może, a źle jest poraz pierwszy głos jej posłyszeć, mając puste kieszenie, co mi się uda w dniu Nowego Roku, rok już cały udawać się będzie.

Są ludzie jednak, którzy temu wszystkiemu wierzą. Ależ, proszę państwa, jakże czasami nie wierzyć, jeżeli coś się dotykalnie spełnia? Naprzykład ja i kukulka: Złe jakieś przeznaczenie zawsze mi każe jej najpierwsze kukanie posłyszeć, gdy ani grosza w kieszeni niema.

I co?

Nie już przez rok cały tej krzywdy naprawić nie może. — Pusto i pusto! — Postanawia człowiek na rok następny być oględniejszym nieco i z pierwszym dniem wiosny w stosowny zaopatrzyć się zapas...

Gdzie tam!

Jak na złość nie niema się w kieszeni, gdy z gajku dolatuje wdzięczne: ku-ka!

I znowu rok przepadł.

Pytam teraz: Jak tu nie wierzyć kukulce?

A Nowy Rok?

Oj, oj! — ma i on swoich zwolenników, którzy stanowczo wierzą w niezawodność jego.

Ale, jeżeli tak jest, to zła wróżba dla osławionych maskarad naszych.

Rok Nowy, jak każdy zresztą rok nowy u nas otworzył gościnne zawsze podwoje sal Redutowych, dla maszkar i dowiepów. Ustawiono bufet, zapalono światła, pootwierano drzwi wszystkie; butelki szampana czekały z niecierpliwością chwili, w której im strzelać pozwolą, smukłe kielichy nie mniej się cieszyły, że będą mile łechtane przez usteczka do listków róż podobne, wśród gżemsów sal przygotowały się już echa do odpowiedzi skocznym tańcom mazura, lub dowiepom, wprawdzie od bardzo dawna, niedowiepnym wcale. — Czekano — czekano — i...

Nikogo się nie doczekano.

Usunięto więc bufet, pogaszono światła i wszystkie drzwi zamknięto.

Tak się skończyła pierwsza, noworoczna maskarada.

Jaka ztąd wróżba?

Nie bardzo ciekawa.

Niezupełnie jednak wierzone, tym niezawodnym wróżbom noworocznym i po tak świetnie udałej uroczystości, zwanej *pierwszą maskaradą*, na następną niedzielę naznaczono *drugą*, która udała się z równie dobrym skutkiem.

Ale ta trzecia?

Ta trzecia, bywała zawsze koroną maskarad. Bywał zawsze tłum duży, upał tropikalny i nudy nad nudami. Lecz towarzystwo...

— Przepraszam — ktoś mnie przywołuje do porządku.

— Słucham.

— Pan zaczął mówić o towarzystwie?

— Rzeczywiście!

— Czy większość zebrania pan może nazwać — towarzystwem?

To pytanie wprawiło mnie w kłopot pewien.

Ta trzecia niby udawała się jeszcze dotąd, ale dość było przysłuchać się prowadzonym rozmowom z maseczkami, ażeby dojść do przekonania, że w i-



stocie, nie osoby z towarzystwa pod niemi się ukrywają.

Nie lepiej i teraz będzie, ale nie—złe mówię—lepiej będzie, bo są pewne znaki, po których sądzić można, że się wcale nie uda. Maskarady, jako zabawy publiczne, przeżyły się już u nas. Przybyły z południa i tam tylko drgać mogą pełnem życiem, bo się nie zasklepiają w ciasnych murach salonów, lecz wybiegają na ulice, wypełniają place przy dźwięku muzyki, rubasznych żartach arlekinów i śmiechu głośnym rozbawionego tłumu. Ale do tego wiele warunków potrzeba: jednym z nich, to gorący, namiętny temperament włoski. Swobodne oddawanie się zabawie, która, jako wino, upaja!

Nie przeczę jednak, że dobra maskarada, jest jedną z najmielszych rozrywek, ale musi z sal publicznych przeniesć się do domów prywatnych, gdzie nie każdy, za wydanego rubla ma wstęp wolny. Znajomi i znani ukrywają się pod tajemniczymi maskami, swobodniejszy żart może wtedy popłynąć, ale nie przechodzący przyzwoitości granic; maseczki nie zamkną się w gabinetach, ani zasłyszana rozmowa uciech nie zgorszą uszów. W tego rodzaju maskarady wierzę jeszcze.

Ale, niestety—u nas już w zwyczaj wchodzi i coraz silniej się zagnieżdża wcale nowa zabawa, która także jest maskaradą, tylko w gorszym stylu od tej, której salonów swoich używają sale readowe. Jest nią rozrzućanie listów anonimowych, jakaś zła chęć ugody bliźniego, wprowadzenia podejrzenia w dom nieraz tętnący spokojem, urażenie dumy czyjejs, zamącenie serc kochających się i tak dalej. Oczywiście, że nieraz strzał chybiłby zostanie, ale nie koniecznie natury są tak spokojne, że list bezczelny z zimną krwią w piec rzuci, poznawszy się na jakiejś nędznej mistyfikacji. Często bardzo niepewne podejrzenie zaczyna rodzić się w dotąd spokojnym umyśle. A może jest cząstka prawdy w tem tajemniczym doniesieniu? Może to ostrzega przyjaciela, któremu za boleśnie byłoby smutną prawdę w żywe przedstawić oczy, więc użył tego anonimowego sposobu? Może to zresztą uczynił człowiek mało znajomy, lecz świadom rzeczy? Kto wie?

Mimowoli rodzą się pytania, dają się odpowiedzi; podejrzliwsze natury stają się bardziej podejrzliwymi, na przedmiot jeden zwrócona uwaga przechodzi w stan chorobliwy, już się spostrzegło to a to, coś bardzo podobnego do napomnień czytanych w liście, tylko nieci uchwycić nie można i dojść do kłębka. Zaczyna się samomęczeństwo, padają ostre półsłówka i słowa i oto powoli tworzy się — piekło domowe.

Dlaczego? zkad?

Bo podobają się nieponiowi, czy nieponiom jakimś, zabawić się w anonim głupi.

Czytaliśmy w dziennikach, że udało się pewnemu panu, którego obdarzano listami podobnymi, odkryć pisarza, tym razem pisarkę — i pociągnąć do odpowiedzialności. Życzymy szczerze powodzenia sprawie, a nie jesteśmy bynajmniej za wyrokiem łagodnym. Wstrętności są dla nas wszelkie strzały z płota; kto nie umie śmiało twarzą w twarz spojrzeć, ten, jak rzeźmieszek, za kratkami posiedzieć powinien. Inaczej, niż podłością, pisywać podobnych nazwać nie możemy.

Ale oto spotykamy się z mniejszego rodzaju przewiną, uprawianą jednak z dobrym skutkiem w dobrych nawet towarzystwach. Jest to sobie niewinna zabawa w niewinnem ogadywaniu dobrych znajomych.

„Pan taki a taki, lub taka a taka pani jest niezwykle miłą osobą, nadzwyczaj sympatyczną, dobrą i miłosierną bardzo, lubię ją niezmiernie, kocham nawet, ale...”

I w tem ale dopiero, — właściwie — w dopełnieniu jego, są niby nie nieznaczące drobnostki, błędy i błędziki, wady, wadki, maluchne, maluteczkie, ale taka tych maleństw poważna liczba się nabiera, że wszystkie poprzednio wymienione pochwały, wszystkie kłazy i cnoty wyliczone, jak dym błąkitny gdzieś znikają. — Słowem: bawienie się cudzym kosztem jest dość upowszechnione, powiemy nawet, coraz częstszym, a brzydkim zwyczajem się staje. — To też nie dziwimy się bardzo charakterystycznemu powiedzeniu pewnego emeryta, karmiącego codziennie wróble w aleji ujazdowskiej:

— Wolę karmić te ptaszyny, niż ludzi, bo jakkolwiek nie podziękują i uciekną, najadłszy się — lecz później nie obmówią przynajmniej.

Karnawał rozpoczął się, wiem, że gdzieś ludzie się bawią, gdzieś płyną dźwięki uroczego walea, i święci się flirt niewinny, który zdaje się nie jest niczem innym jak tylko starą a dobrze nam znaną *zalatnością*. Ale ba! wyraz angielski ma brzmieć ni by lepiej od tego staropolskiego słówka. Dla czego lepiej — to już Bóg jeden może wiedzieć, lecz moda jest potęgą.

Bawią się więc ludzie, a bawią się doskonale. Tak zwana „Wieczornica z choinką,” u Wioślarzy, jakkolwiek bez dam udziału, udała się wyśmienicie; przed biesiadą „Duda” odśpiewała modlitwę, nastrój zebrania był podniosły, a gdy zaczęły krążyć kielichy, posypały się jak z rękawa przemowy, pełne serdeczności, dowcipu i życzliwości. — Nikt też z uczestników narzekać nie może na bal u Garbarzy, tak też i raźnie u Handlowców szły tany. Ale wielkie zajęcie budzi zapowiadany bal na „Przytulisko” w salach readowych. Zarządzający komitet chce zebrać o ile można kostymów, pojawia się więc o strojach francuskich markize i markizowie, w powietrzu zakołyszą się dźwięki wdzięcznego menueta, a tańczące pary będą miały możność okazać cały powab ruchów miękkich, delikatnych, rozpieszczonych, że tak powiemy — które są główną cechą figur menuetowych. — Gdy przyjdzie właściwa chwila sprawozdań z tego balu, nie powiem — niestety! i ja tam byłam, miód i wino piłam, — bo w inną stronę myśl będą miał zwróconą i może do was z czemś ciekawszem przyjdę.

Nie gorszę się, ani się dziwię, że łaskawe czytelniczki moje, szczególnie te, które na wsi mieszkają i nie mają zręczności wybalowania się po warszawsku, cheiwem uszkłem chwytają wszystkie echa odbite od sal tych, gdzie panuje wir, zamęt, upajająca chwila karnawałowego szalu. Rade są dowiedzieć się o strojach i ich szczegółach, pomarzyć trochę, jeżeli się nie uczestniczy samemu. Nie gorszę się, bo taniec uważam za jedną z najprzyjemniejszych rozrywek, za szczyt wszystkich zabaw zbiorowych. A cóż dopiero, gdy w piersi młodzieńcze serce bije, czerwona krew w żyłach płynie, a umysł nie przysięga troski zbyt poważne? Stań wtedy, pani, do mazura, nie żałuj uśmiechu, który, jak ptak rajski, wciąż wylata i wciąż wraca do gniazdka swojego, do gniazdka z pereł i róż. Życie się składa z rozmaitych barw, więcej ma smutków, niż radości; wciąż smutkom się oddawać to trudno! bo dużo-by w sercu dobrych natchnień zamarło, przyemiło się myśli orlich, nie zamienionych w czyn żaden. Za łeb wziąć troski i silną wolą zgnieść, mieć nie przyemiłony wzrok smutkiem, by nim szczęśliwych nie zarażać, umieć uderzyć młotem kowalskim i skrzesać dziarskiego hołubca — to dziś jest zadaniem tancerza, o którym mówią. — Baw się więc pani, gdy możesz — ja tylko ci szczerze przyklasnę, a wesołości nie zazdroścę nikomu; nie znam tego brzydkiego uczucia, choćbym nie wiem jak był smutny. Chciałbym tylko, by myśli twoje nie tylko balami były zajęte; by treścią twojego życia nie było szlizanie się po jego powierzchni, byś pamiętała zawsze kim jesteś, gdzie jesteś, na jakim ołtarzu najpierwsza miłość ma spocząć.

Nie wiem dla czego, przyszedł mi na myśl w tej chwili wiersz jeden. Powiedzieć go pani?

A — dobrze! Wiem przez kogo napisany i z jakiej okazji — lecz powiem tylko, że poeta go rzucił na wachlarz swojej tancerki, choć może nie do niej był skierowany, bo mówi o osobie trzeciej, zresztą, kto z poetami do ładu dojdzie?

Oto jego brzmienie:

Warkocz króleski, usta z koralu,  
Spojrzeniem tłumy podbija —  
Z mgieł i obłoków szata owija  
Najpierwszą piękność na balu.

Świeci czarownym blaskiem opalu,  
Syrenim głosem przynęca —  
W wirze walcowym jak wąż się skręca  
Uroczą królowa balu.

Lecz, gdy wypłynie z róż i mgieł szalu,  
Kwieciste rzuci kobierce:  
Pragnąłbym zajrzeć w pierś jej i serce,  
Zobaczyć — czem jest — po balu?

O to tylko i mnie chodzi.

Lecz teraz, nie mogąc zadowolnić żądań pani szczegółowym sprawozdaniem o strojach i innych podobnych tym ciekawościach — robię skok nie wspólnego z menuetem niemający i zapisuję tu fakt bardzo ciekawy, dowodzący: jaką potęgą jest zbiorowość, — oraz, jak to my źle nieraz sądzymy o delikatności uczuć ludzi prostych, których jeno znamy ze słów niewyszukanych, z rąk zgrubiałych i ogorzałych twarzy. Rzecz się odbyła w Łodzi a treść opowieści następująca:

Przed dziesięciu laty w jednej z fabryk łódzkich zmarł portjer, pozostawiając żonę i synka. Wkrótce jednak po jego śmierci do wieczności się przeniosła i wdowa, tak, że dziecko osierocone przygarnąć się ani przytulić do nieczyjej piersi nie mogło. Kilku więc robotników, zaczęło rozmyślać nad dolą chłopca, którego losem zająć się chcieli i — przyszedli do przekonania, że gromada, to wielki człowiek. Postanowiono więc wychować malca a wychować wspólnymi siłami. Na myśl tę zgodzili się wszyscy współtowarzysze pracy i każdy zobowiązał się tygodniowo dwa grosze składać do skarbonki na rzecz wychowawca. Wszystkich robotników w fabryce pracowało przeszło 500, dla dziecka więc składano najmniej 5 rs. Chłopiec miał wtedy lat 8, a wziął go do siebie jeden z majstrów fabrycznych. Składka na sierotę weszła w zwyczaj i w ciągu lat 10-ciu uzbierano około 1,500 rs. Z pieniędzy tych, opiekun chłopca potrafił pewną sumę na ubranie i utrzymanie a resztę przeznaczył na wykształcenie. Chłopiec ukończył trzyklasową szkołę miejską, a oddany następnie do szkoły tkackiej zagranicą, świeżo ją opuścił, jako wykwalifikowany technik. I oto, dzięki zbiorowemu miłosierdziu, bez żadnych prawie kosztów dziecko sieroce człowiekiem się stało i ma do końca życia być zapewniony.

Czy to przykład nie godny naśladowania i to nie koniecznie tylko w podobnym do powyższego wypadku? *Concordia res parvae crescunt* widniało na dawnych holenderskich dukatach; nie powtarzać nam tego zdania, lecz zastosować się do tego złotego napisu potrzeba.

Zajrzyjmy teraz do dziedziny — wynalazków.

Oto w Londynie wynalezione zostało — „Mignon.”

— A co to takiego?

— Jest to taniec, nadzwyczaj skomplikowany i wielce zajmujący, złożony z mnóstwa figur, z których każda ma szesnaście tańców, a uczestniczyć w nim może dowolna ilość par. „Mignon” ma tę szczególną zaletę, że doskonale w nim flirtować można, przy pięknej muzyce Morlay’a. Córy mglistego Albionu, mają się tym nowym wynalazkiem zachwycać, który wstąpił już na ląd stały i pięknym berlikiem głowy pozawracał. I my go ujrzymy — oczywiście na deskach teatralnych, bo głównie dla baletu taniec ten ma być przeznaczony.

Wynalazkiem drugim już nie jest żadne „Mignon” — ale rzecz bardzo poważna, mogąca ogromny przewrót w nauce zrobić, szczególnie w medycynie, — dokonać zaś tego miał profesor fizyki uniwersytetu wüzburgskiego, Konrad Röntgen.

Oto co piszą:

Prof. Röntgen bierze rurkę Crookes’a — tak zwaną od nazwiska słynnego fizyka angielskiego i wynalazcy, a stanowiącą rurę szklaną, pozbawioną powietrza, przez którą przechodzi silny prąd indukcyjny — i przy pomocy wybiegających z niej promieni zdejmuję fotografie. Te promienie, o których istnieniu nie wiadano nawet, są dla oka ludzkiego niewidzialne; w przeciwieństwie zaś do zwykłych promieni przenikają one przedmioty, materię organiczną i inne tego rodzaju przedmioty niedostępne dla zwykłego światła, natomiast nie są zdolne przeniknąć metali i kości. W ten sposób, przenoszą na płytę fotograficzną przedmioty zrobione z kości lub metali a zakryte w pudle na przykład, podczas, gdy pudło samo odbite nie zostaje.

Promienie te przechodząc przez ciało ludzkie, odbijają kości bez śladu ciała. Ma być ciekawy okaz sfotografowanej tak ręki, na której widać dokładnie kości i otaczające je, jakby w powietrzu zawieszone pierścionki, miękkich zaś części ręki nie widać wcale.

Kilka prób tego wynalazku w świecie naukowym budzi niezwykle zdumienie. Bo rzeczywiście — gdy to jasnowidztwo kliszy udoskonalonem jeszcze więcej zostanie, wiedza olbrzymi skok naprzód zrobi



i—nie wiadomo gdzie się zatrzyma. Ach, mój Boże—jak my wiemy straszliwie mało, co za obszar zagadnień przed nami!

??

## K E D Y D R O G A ?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

IV.

— List od Cesi... list od Cesi!—wołała rozpromieniona Amelka. Byłam już niespokojna o moje dzieciątko...

— Cóż pisze?—spytała ciekawie Janina.

— „Najdroższa moja — zaczęła czytać Amelka. — Smutno mi i tęskno w Zaliszewie, dokąd stryjowstwo na tygodni kilka zjechało. Ale bo też doprawdy, jestem zupełnie pozbawiona swobody i wydaje mi się, jakobym była pieskiem faworytem, na jedwabnym sznureczku przywiązany, od którego nie nie wymagają, byle krótki swój żywot na pluszowej poduszce przespał, objadłszy się sucharków ze śmietanką.“

Jania wybuchnęła śmiechem.

— A to oryginalna dziewczyna! — zawołała. Więc dla czegoż narzeka? Toć to jedwabne życie! Amelka spojrzała na nią z wyrzutem.

— Po co ta komedia? — spytała. Bo przecie nie myślisz tego, co mówisz...

„Moja droga Amelciu — czytała dalej — skarci mnie pewno za ten wstęp szydersko-gorzki... Cóż, kiedy porównanie niechęć z pod pióra mi się wymknęło... Człowiek stworzony jest chyba na to, aby coś robił. Beczynność i przeświadczenie, że się nikomu nie jest potrzebnym, wyradzają myśli niewesołe... Choćbym pragnęła ukryć to przed tobą, nie mogę! Smutno mi, obojętne i tęskno! I powiesz może, Amelciu, że to moja wina, że nie umiem przywiązać się, być wdzięczną. Nie zaprzeczam, ani przyznaję! Dotąd jest to wątpliwość, którą może sama kiedyś rozjaśnisz. Tymczasem kilka próbek. Znasz moje marzycielskie usposobienie, wiesz, że chętniej przestaję z przyrodą i z książkami, niżeli z ludźmi. To jest właściwie, jak z jakimi. Chorzy, cierpiący posiadają całkowicie moje współczucie. Zdrowi, szczęśliwi, z tą maską bezwzględnej obojętności na ogólnoludzkie sprawy, budzą niedługo wstręt...“

„Nie pragnę wydawać się lepszą, niż jestem; prawdopodobnie i osobista zazdrość małą tu rolę odgrywa. Gdy widzę zdrowe, tegie dziewczyny, uwijające się po łąkach i polach, obejmuję krytycznym okiem moją drobną, schorzałą postać i — ty mnie zrozumiesz Amelko! — nie mogąc rozwiązać pytania, dla czego tak jest, jak jest, rozgoryczam się i radabym sama od siebie, od myśli swoich, uciec jak najdalej!“

— Biedna, kochana Cesia! — szepnęła zasmucona Jania. Amelka miała łzy w oczach.

„Czy chcesz abym ci opisała, jak czas przepędzam na wsi? — w dalszym ciągu pisała Cesia. — Wszystkie dni do siebie podobne! I tak: nieprzebrana troskliwość stryjki trzyma mnie w łóżku do godziny jedenastej codziennie. Żaluzje spuszczone, wszyscy chodzą na palcach. Czuję przedsmak śmierci!“

„Las, ogród, pola rozbrzmiewają echem tysiącznych objawów zdrowego, pożytecznego istnienia, wspaniałe słońce uśmiecha się do ziemi, ziemia do słońca... ludzie uwijają się, jak mrówki, pracują, zabiegają... Ja to czuję, ja to widzę po przez zamknięte żaluzje, po przez łąki, zalewające mi oczy...“

„O jedenastej godzinie, z miną tajemniczą, wystraszoną, zjawia się na koniec stryjka i hy-

gieniczne śniadanie. Amelciu, niech cię Bóg strzeże od higienicznych śniadań! Gdyby nie obecność stryjki, to wodniste kakao i wysuszone grzanki wywędrowałyby z pewnością za okno. Tymczasem, cedząc szary płyn po łyżeczce, zadowolone dziewczkom z czeladnej posilnego żuru ze skwarkami i smacznego chleba razowego, odpowiadając jednocześnie na troskliwe pytanie stryjki. Może mi się co śniło, może się zrywałam w nocy, może nawiedziło mnie bicie serca, a może i — wówczas oczy stryjki rozszerzają się trwogą, może czuję, spodziewam się, oczekuję, przewiduję, że — że dziś właśnie nawiedzi mnie atak histeryczny, — jak stryjka każdą moją migrenę nazywa, a którego czuła jej serce tak się lęka!..

„Gdybym się nie wstydziła samej siebie, wybuchnęłabym płaczem.“

„Po śniadaniu, pod osobistym dozorem stryjki, zaczyna się szczotkowanie, polewanie, masażowanie w różnorodnych formach i gatunkach. Późem obwinęta w worek flanelowy, zmasakrowana, potłuczona, spoczywam znów na łóżku, zlorzcząc niedługo Kneippowi i jego wynawcom.“

„Między pierwszą a drugą godziną w południe, spacer. Ubrana w wełnę od końca palców do czubka głowy, mając z jednej strony stryjkę z wodą kolońską lub amoniakiem, z drugiej Joasię pokojówkę z pledem i szalem, w razie nagłej zmiany temperatury, przechadzam się po ogrodzie w miejscu najbardziej odkrytym na działanie słońca, póki dzwonek na obiad nie zawoła.“

„W sali jadalnej spotyka nas stryj. Przy zakupie (oczywiście dla mnie *menu* obiadowe składa się z potraw ściśle określonych przez higienę i homeopatję, co sprawia, że zawsze głodną jestem) kochana stryjka niewyczerpaną jest w opowiadaniu o moim języku, spieczonych wargach, podsiniałych oczach i t. p.“

„Stryjka słucha, zającą pasztet, indyka, roladę lub dziczyznę, a ja ogryzam udko niewinnego kurczęcia i znów zlorzczę higienę i homeopatję. Po wetach stryj wstaje od stołu, całuje z namaszczeniem rękę stryjki i powtarza stereotypowe: „Matką jesteś dla sieroty, Wacuniu.“

„Późem i ja otrzymuję pocałunek ojcowski ze słowami: „Wdzięczność, jest jedną z najpiękniejszych cnót Cesi.“

„Na tem się kończy obiad. Żywot pieska-faworyta coraz jaśniej przemawia do mojego melancholijnego nastroju. Uciekam do siebie, do fortepianu, do książek. Zaledwie grać zaczęłam, aliści anioł stróż, w postaci stryjki, zjawia się u mego boku. „Cesi, muzyka denerwuje... Ten biedny Chopin, najlepszym tego dowodem... Do grobu go wpędziła. Zlituj się dziecko, zaprzestań!“

„Z głuchą rozpaczą wstaję od fortepianu. Tak mi było potrzeba czegoś kojącego, słodkiego, wszystka gorycz z serca byłaby się rozplynęła w tonach pieśni, miałabym chwilę ukojenia, zapomnienia!..“

„Toż samo dzieje się z książkami, których mi bez uprzedniego zezwolenia stryjki dotknąć nie wolno. Zaledwie godzinę w dniu pracować mogę nad sobą i też ta godzina pokrzepia mnie i umacnia ducha, który słabnie...“

Amelka złożyła list.

— Cesia jest zgubiona, jeżeli dłużej pod takim kierunkiem zostanie — rzekła do siostry. — Pomyśl-no Janiu, jakie to okropne życie... Ciągły przymus, ciągła niewola! Biedne moje dzieciątko!

Amelka łzy otarła, Jania, zadumana smutnie, patrzyła w ogród.

— I nam nie wesoło... — rzekła. — Wiesz Amelko? zupełnie inaczej wyobrażałam sobie powrót nasz do domu... —

— Tobie się już pewno bałów zachciewa?

— Nie! odparła. Wierzaj mi, że nie! Tak mi życie zaraz na wstępie zniechęciło... —

— No, no! nie przesadzaj! Cóż w takim razie biedna Cesia o swoim powiedziećby mogła? — rzekła smutno Amelka. — Żal mi dzieciątko!

Jania zamysliła się chmurnie.

— Amelciu! — ozwała się po chwili, zmieszana bardzo i unikając wzroku siostry. — Czy-czy przypuszczasz, że mama jest szczęśliwą?

Ostatnie wyrazy wybiegły szybko z jej ust pobladłych, jak gdyby się lękała je wymówić.

Amelka drgnęła. — Oczywiście — szepnęła z wahaniem — pod tyloma postaciami wyobrażamy sobie szczęście... Trudno coś w tej kwestyi powiedzieć... —

Jania, zdobywszy się już na odwagę, stała się śmielszą i postanowiła rozwiązać nurtującą ją od pewnego czasu wątpliwość.

— Bo widzisz, Amelciu — mówiła — zupełnie inaczej wyobrażałam sobie ojezulkę i miłość jego dla mamy... Zdawało mi się, że rodzice należą do tych wybranych, szczęśliwych małżeństw, gdzie wspólne poglądy jednoczą umysły, wspólna harmonia rozgrzewa serca... gdzie jednym słowem, niema miejsca na żadne sprzeczki, kolące docinki, co bezwątpienia, sprawia jednej stronie przykreść głęboką, a drugiej... —

Zawahała się, Amelka położyła jej dłoń na ustach.

— Nie kończ! — szepnęła pobladła i wzruszona. — Nie do nas należy sądzić... Możemy się mylić zresztą, nie posiadając doświadczenia.

Jania zaprzeczyła energicznie.

— Trudno pozbyć się wzroku i słuchu odparła. Przygryzała zębami wargi, żeby się nie rozplakać. Wreszcie, wzruszeniem zwalczona, rzuciła się w objęcia siostry.

Sprawa Cesi nie została przecież zaniedbaną. Dziewczeta tak wymownie przedstawiły ją rodzicom, że p. Klemens — bo matki poparcia oczywiście z góry pewne były — zgodził się, aby Cesia przyjechała do Zarzecza, na czas nieograniczony.

— Z tego co opowiadacie — rzekł jeszcze — nie mam nadziei, aby owo uosobienie troskliwości, godna pani stryjka pozbyć się chciała przedmiotu czułych starań swoich i opieki. Torturowanie biednego dziecka musi jej sprawiać pewną przyjemność.

— Tak, tak ojezulkę! — zawołała żywo Jania. — Trzeba znać ludzi! — Szkaradna kobieta!

— Nie uprzedzaj się do ludzi Janiu bo ich nie znasz — rzekła łagodnie p. Helena. — Za młoda zresztą jesteś i nie masz o niczem wyrobionego zdania.

— Mateczko! — odparła uparta dziewczyna — sąd o ludziach szybko się wyrabia; jeśli kto bystry wzrok posiada, musi widzieć wszystkie brzydkie wady, trapiące ludzkość. Oczywiście i jabym wołała ludzię się... —

— Córeczka nasza jest oryginalną, Heleniu? — śmiał się p. Klemens do żony.

P. Helena inaczej się na to zapatrywała.

— To bardzo smutne Klemensiel! — rzekła. — Nie pojmuję doprawdy, skąd się wzięły u Janki podobne zapatrywania?

— Zmartwiłaś mamę... — szepnęła siostrze Amelka.

Jania w jednej chwili znalazła się u kolan matki.

— Cóżem ja winna! — tłumaczyła się pokornie. — Kochałabym świat cały, gdyby zasługiwał na to... — Moja mateczko, choćby i ta Cesia! Czy miła jej stryjka powinna tyle przykreści wyrządzać i tak już niezbyt szczęśliwej dziewczynie? To wprost oburzające! Mnieby taki system kuracyjny zaprowadził prościuteńko do zakładu obłąkanych... —

— Nie unoś się, dziecko! — napomniła córkę p. Helena. — Masz niedobry zwyczaj zapalania się, gorączkowania przedmiotem, którego albo nie znasz, albo się nad nim nie zastanawiasz... Wszak postępowaniem owej stryjki kieruje troskliwość o zdrowie kuzynki?.. —

— Lecz sposób, w jaki się do tego bierze, jest idiotyczny! — odparła z uporem. — I ja jej to pierwsza powiem, skoro tylko znajdziemy się razem... —

— Jestem pewną, że tego nie uczynisz... — rzekła z powagą p. Helena.

— Cóżem mateczko? Ktoś przecie na świecie zdobyć się musi na wypowiedzenie prawdy ludziom; niech im się nie zdaje, że są idealni... Trudnoby mi było odmówić sobie przyjemności zdzierania z ich niewinnych, anielskich twarzy maski obłudy i fałszu.

— Boże! co ty mówisz, dziecko? — zawołała oburzona matka. — Jaka gorycz w słowach, jakie przewrotne zapatrywania!

— Pogląd starej, zgorzkniałej panny, która już tylko koty i psy hoduje, pieści i za przyjaciół uważa...



za...—śmiały się rozweselony p. Klemens.—Heleniu!—Ta mała jest nieporównana! Cha, cha, cha! Czy to także pensjonarski nabytek? No oczywiście, tedy wiesz ci, żonczko, świetnych, a przypuszczam niespodziewanych rezultatów, edukowania dziewcząt na pensyi... Nie zapominaj, że byłem temu przeciwny.

Zartował z córki i w gruncie rzeczy widać było, że kwestya ta nie wiele go obchodzi, rad jednak chwycił sposobność dokuczenia żonie.

Zapał Janiny ostygł w jednej chwili.—Ojezulek jest w błędzie — rzekła rezolutnie.—Nasłuchałam się dosyć na pensyi o miłości dla ludzi, o ich doskonałych przymiotach, o anielskości kobiet, a prawości mężczyzn. Cóż, kiedy te piękne frazesy nie trafiały do mego przekonania, bo dość jest mieć uszy i oczy otwarte, aby widzieć i słyszeć więcej, niżeli się chce nawet...

— Ja cię nie poznaję, Janiu!—szepnęła p. Helena.—Widzę, że będę miała dużo, dużo pracy z tobą...—Bierz przykład z Amelci, Janiu?

Dziewczyna z figlarnym błyskiem oczu pokiwała głową.

— To właśnie nieszczęście, mateczko, że ja nie czuję w sobie skłonności do przejmowania cudzych doskonałości i poglądów. Pragnę mieć o wszystkim swoje zdanie... Poczucie indywidualności własnej, to rzecz nader miła...—mówiła, śmiejąc się i garnąc do matki pieszczotliwie.—To nie nie szkodzi, niech mateczka mi wierzy...—Przecież Amelka sama dowodziła niedawno, że kobiety umieją teraz myśleć same za siebie i muszą myśleć, żeby się od krzywd, jakie im się dzieją, uchronić.

— Nie było mowy o krzywdach — zaprzeczyła Amelka.

Janka śmiała się, jak dziecię rozswawolone.

— Wszystko mi tam jedno!—rzekła wreszcie — Świat jest bardzo piękny i ludzie na nim bardzo dowiepni, ale ja ich nie lubię i wierzyć nikomu nie będę! Nie ma, niestety, nic trwałego pod słońcem!

P. Helena, słuchając córki, zostawała wciąż pod wrażeniem dziwnego niepokoju. Jania wydała jej się jakąś inną, niżeli dawniej, a w roztrząsaniu jej, odczuwała smutek.—Nie umiem udawać—myślała pogębiona.—Jania jest bystra i—oczywiście odkryła prawdę; sądzi, że jestem nieszczęśliwą i potępia ojca. Ach jakież to bolesne!

Postanowiła, być jeszcze uleglejszą, baczniejszą w stosunku do męża, by zniweczyć domysły dziewczęcia.

Rozmowa ta atoli spędziła jej sen z powiek, i wschodzące słońce, zastało ją jeszcze czuwającą, z oczyma od łez nabrzmiałymi i twarzą zmęczoną, pobladłą.

## V.

Jaśnie pani kazała przygotować dla panienek suknie erme i liliowe atlasowe szarfy... — mówiła zgrabna pokojówka Józia, układając na toalecie drobiazgi. — A jakie przesłiczne kapelusze! Całe ze złotawej, słomki, a na wierzchu bzy liliowe... Śliczności!

— Bzy? Nie lubię bżów...—zawołała Janina.—Poproszę mamy, aby nam zmieniła kapelusze.

Jania była dziś nie w humorze. Od samego rana—jak twierdziła z uporem—wszyscy robili jej na złość...—Choćby i ta wizyta!—Nie jest przecież dzieckiem i widzi dobrze, ile ona matkę kosztuje...—Więc po co do Krzemienia jada? Że ojciec sobie tego życzy? Ależ mama powinna była tak ojca przyzywać, żeby zawsze tego sobie tylko życzył, czego mama chce...

Myślom tym oddana, przeciągała się leniwie na ottomanie z książką w ręce, z której wszakże ani litery nie przeczytała.

Amelka, smutna, rozstrojona, machinalnie układała przed lustrem warkocze.

— Nie kłopotz mamie głowy... — skarciła siostrę. — Radzę ci także skończyć swoje farnienie! Spójrz na zegar...

— Jaśnie pani już ubrana—wtrąciła Józia. Jania, rzuciła książkę.

— I żebym ja choć wiedziała, po co my tam jedziemy?—zawołała z niesmakiem.

— Czy panienki gotowe? — spytała p. Krasnohorska, wchodząc do pokoju córek.—Jako? Jania jeszcze w negliżu?—Co to znaczy?

Jania w odpowiedzi w dłonie klasnęła.

— Ach, —jaka mateczka śliczna!—zawołała.

Istotnie zachwyt jej był usprawiedliwiony: p. Helena w czarnej atlasowej sukni, bogato dżetami haftowanej i malenką kapotce liliowej z piórami, wyglądała młodo i wspaniale. Była to jedna z tych rzadkich twarzy, którą cierpienie idealizuje dziwnie pociągającym, smętnym wyrazem, nie ryjąc brózd, ani ze świeżości odzierając. Smutek, nurtujący głęboko, od pierwszej młodości zaraz, zawiedzioną w najdroższych uczuciach p. Helenę, cichy był, i łagodny i równie łagodnie do rysów jej się przykleił. Było coś w jej twarzy i postaci, co uderzało od pierwszego rzutu oka i zatrzymywało uwagę. Piękne matowe oczy, jak aksamit czarne, posiadały w spojrzeniu słodycz nieprzepartą, a mimo to taką dziwną obdarzone były siłą, że, jak twierdziła z przekonaniem Jania, dosyć było jednego ich błysku, aby każdego, chcącego grzeszyć, do upamiętania przyprowadzić.

P. Helena miała przytem postawę pełną godności, ruchy lekkie, swobodne, szlachetną prostotę układu i wrodzoną dystynkcyę.

Amelka bardzo była do matki podobną.—Tylko oczy miały kolor inny. — Zielonawe, mieniące się szafirowymi odbłyskami żrenice przypominały oczy ojca,—choć różniły się wyrazem.

P. Helena pełen zachwytu wykrzyknik Jani, przyjęła pobłażliwym uśmiechem.

— Pośpiesz się, kochanko, czas jechać... — rzekła, odsuwając z czoła córki powichrzone loczki.—Cóż to? Grzywka? To zbyteczne Janiu!

— Mateczko, przecież moda...

— Czy istotnie córeczka moja ma ochotę ślepo we wszystkim do mody się stosować?

Jania się zawstydzila. Wnet czarne loczki ułożyły się posłusznie w tyle głowy, ukryły za uszami i białe czoło odsłoniło zajaśniało pogodą, nadając twarzy całej młodzieńczy urok.

P. Helena usiadła. Była bladą i zmienioną.

Zywa sprzeczka z mężem przy śniadaniu upokorzyła ją i boleśnie dotknęła.

P. Klemens istotnie przeciągał dziś strunę. Od dni kilku był już czymś zrytowany i o zwykłej, chociaż zaprawnej żółci słodczy, zapominał. O co poszło? O wizytę do Krzemienia.

P. Helena chciała pojechać z mężem tylko, p. Klemens stanowczo przy zabranii córek się uparł.

Jania, słuchając rozmowy rodziców, nie spuszczała ciekawych oczu z twarzy ojca, i w duchu zło-rzeczyła owej pani Kamilli, nie pierwszy raz powód do sprzeczki nastęrczającej.

Amelka starała się zająć ją opowiadaniem, odwrócić uwagę, napróżno.

W czarnych oczach dziewczyny tliły się iskry ledwo tłumionego oburzenia, upór i stanowczość.—Gdybym to ja była na miejscu mamy, nie ustąpiła bym — myślała, uderzając niecierpliwie łokciem w posadzkę.—Kobieta, jeśli wie, czego chce, powinna umieć wytrwać przy swoim...

A tymczasem pani Helena musiała ustąpić.

Ustępstwo to jednak kosztowało ją wiele i pogłębiło żal do męża.

Jak on mógł nie zrozumieć jej macierzyńskiej trwogi, jak mógł nie uznać, że dom przyjaciółki jejgo, pani Kamilli,—bo ona, Krasnohorska, uważała ją za taką nie chciała, — jest wprost niewłaściwym miejscem dla jej córek?

P. Kamilla Malska była kobietą na wskroś światową i lekkomyślną. Wydana młodo za mąż, piękna, zalotna, bogata, bawiła się, stroiła, budziła zazdrość kobiet, zachwyt mężczyzn, gdziekolwiek się pokazywała.

Mąż jej (w obec pięknej pani,—nikt się o niego nie troszczył), miał czas przeżyć się, nim się ożenił. Młodej, — tryskającej zdrowiem i młodością małżonce,—ofiarował zniedołężniały umysł i nieczem niezwalczoną apatyę. Dla czego p. Kamilla, poznawszy go takim, oddała mu swoją rękę, dlaczego wówczas, kiedy stanął przed nią wyblady i obojętny ze słowami cynizmu: — „Nie mam już nic do ofiarowania prócz złota“... — nie odrzuciła go ze wzgardą, na to niech odpowiedzą wszystkie młode panny, które, z równą Kamilli obo-

jętnością, przyjmują pierwszego lepszego konkurenta, jak gdyby przejść się do ołtarza znaczyło tyle, co zrobić spacer do Łazienek, lub Botanicznego ogrodu.

I gdyby to jeszcze kobiety terazniejsze zachowały były prostotę i uległość z owej błogosławionej epoki, kiedy pomyłka w wyborze towarzysza dożgonnego, ubierała niewiastę w szatę cichego smutku i poddania, a brak miłości ze strony męża, potęgował miłość macierzyńską... Ale teraz kiedy nerwy biorą przewagę nad wolą, odrębny system kieruje wychowaniem, inne wpływy i pojęcia, niedobry związek srowadza często kobietę z właściwej drogi, a jako parawan, służy pomyłka owa właśnie, która przecież kobietę najwięcej obciąża.

Piękna p. Kamilla, nie wymagając niczego od męża, wymagała wiele od życia. Skoro natura sama, uposażyła ją w tyle powabów i wdzięków, skoro mężczyźni głowy i sereą dla niej tracą, czemuż nie ma się bawić, flirtować? W rezultacie są to przecież rzeczy niewinne...

Istotnie płeć brzydka brała ją zawsze w obrońę.—„Taki mąż!—mówiono z litościwym wzruszeniem ramion—kobieta młoda, pełna życia“...

Po za tem p. Kamilla uprzyjemniała sobie czas pisanem artykułów o „niepodległości kobiet“, odczytami o „nowych prądach“ wygłaszanymi w kółku znajomych i wielbicieli, dla których, czerwone, pełne jej usta, stokroć większy miały powab, niżeli słowa górnio brzmiące, bez treści. Złośliwi przebąkiwali, że Krasnohorski kupił Zarzecze dla blizkiego sąsiedztwa Krzemienia. Podczas karnawałów spędzanych w Warszawie, zalotne oczy p. Kamilli gonili często eleganckiego i świetnie zakonserwowanego prezesa; spotykano ich razem i w teatrze i na spacerach i prezes z uwielbieniem dla p. Malskiej, bynajmniej się nie ukrywał.

Oo tem sądziła p. Helena, świat nie wiedział. Była ona dla wszystkich niemal zamkniętą księgą, której poważna treść nie zaciekała nikogo.

I mąż był pewnym, że „niuńka“, jak nazywał żonę, niczego się nie domyśla. — Dopiero od powrotu córek zaszła w niej zmiana...—Stała się nad wyraz uważającą, nawet na pozory, wymagającą dla siebie należącego od męża szacunku, a już kiedy szło o dzieci, występowała samoistnie i narzucała mu swoje prawa matki, na nie nie zważając.

Oburzyło go to oczywiście, postanowił więc nie czynić ustępstw żadnych. Dzisiejsza o wizytę w Krzemieniu sprzeczka, skończyła się zwycięstwem głowy domu i w obec córek, zupełnem pogębieniem strony przeciwej.

P. Klemens posiadał piękny przymiot niekępowania się przy dzieciach i jakby naumyślnie wszczynął zwykle spór przy nich. Miał w tem swoje wyrachowanie; p. Helena ważyć nieledwie słówka musiała, nie chcąc córkom oczu na niewłaściwość poglądów ojca otwierać.

Ale też życie, dotąd smutne tylko, teraz stało się dla niej męczarnią.

Siedząc w pokoju córek, przemysliwała właśnie nad tem, jakby im powód niechęci względem p. Kamilli wytłomaczyć. One przecież umieją się zastanawiać, tworzą domysły...

Nie uszło jej uwagi, że były smutne i patrzyły na nią wzrokiem niezgłębionej miłości i współczucia.

Krzemień ma okolice przesłiczne — zaczęła wreszcie, gdy panienki stały już przed nią ubrane i pokojówka opuściła pokój.

Droga z Zarzecza wiedzie wciąż po nad rzeką...

Pod Krzemieniem czeka nas przeprawa promem... Czy nie będziecie się lękały?

— Nie, mamol! —odparła spokojnie Amelka.

Janie oczy zamigotały.

— Przeprawa promem?—zawołała zachwycona.—Ach, jak to dobrze! Wokoło głębia niezgruntowana, tajemnicza, a my na łasce fal i wąskiego promu, w oczekiwaniu niebezpieczeństwa!... Jak to będzie przyjemnie! Taka emocya! Wzruszenie! Trwoga!

— Janiu, Janiu, spokojnie! — uśmiechnęła się p. Helena.—Uważałam już po wielekroć, że lubisz się unosić nad drobnostkami... Postaraj się panować nad sobą, dziecko!

— Ach mamol! kiedy ja mam taki zapalny temperament...—tłomaczyła się Jania.



— Jak ty się wyrażasz?—odezwała się z przykrością p. Helena. Jesteś trochę egzaltowaną, dziewczeczko... Nie więcej!

— Słyszałam, jak ojczulek mówił, że mam temperament...—usprawiedliwiała się zakłopotana.—Ojczulek twierdzi, że Amelka podobną jest do mamy, a ja do ojczulka.

Po twarzy p. Heleny przepływał rumieniec. Chciała go ukryć przed córkami, więc pochyliła głowę i szarfę Janiny poprawiać zaczęła.

Jakż ją lek ogarnął!

— Dom pp. Malskich dość przyjemny podobno...—rzekła, zmieniając rozmowę.—Mnóstwo osób tam bywa, zabawy bardzo ożywione... P. Kamilla piękna jest niepospolicie... Ale nie lubię kobiet, uganiających się wyłącznie za zabawą. Wogóle układ jej cały nie podoba mi się... Jest to właśnie jedna z tych emancypantek szkodliwych, którym się zdaje, że ekscentryczne wybryki i obojętność na pozory wyrabia kobiecie wyjątkowe, wyższe jakiegoś stanowisko w społeczeństwie.

— Ach, jak ja takich kobiet nie cierpię!—zawołała Jania z wybuchem, a p. Kamilla szczegółniej. Nieraz już była powodem przykrości dla mamy. Nie pojmuje, dla czego ojczulek tak ją chwali?..

— Jak ty lubisz dużo mówić!..—szepnęła z wyrzutem Amelka, zauważywszy nagle zmieszanie na twarzy matki.

— Mężczyźni, mniej na wszystko zwracają uwagi—rzekła p. Helena.—Ojciec zresztą uprzejmym jest dla każdego i nie chce uchylać sąsiedzkim i towarzyskim obowiązkom.

— Wyrzekłabym się z ochotą zabaw i towarzysztw, gdyby one pęta jakieś nakładać miały...—wtrąciła Janina ze zwykłą rezolucją.

P. Helena mimowolnie się uśmiechnęła. Wzrok jej z rozkoszą i dumą zatrzymał się na pięknych twarzyczkach i zręcznych postaciach córek.

— Więc jesteście gotowe? W takim razie, nie zwlekajmy!—odezwała się, powstając.—Chciałabym, pozbyć się tej wizyty.

W godzinę później, karetą Krasnohorskich zatrzymała się przed pałacem w Krzemieniu.

— Jasnie pani pisze w swoim gabinecie—oznajmił lokaj, wprowadzając gości do salonu.—Jasnie pan odpoczywa w oranżeryi...

Panny z ciekawością rozglądały się w około.

Jania pogardliwie skrzywiła usta.

— Istny skład rupieci!..—szepnęła.—Oczy bolą od tych barw jaskrawych i złocień...

Nadszedł Malski...

Trudno było istotnie wyobrazić sobie coś bardziej zniewieściałego, skarlłowatego przedwiecznie, niż ten szkielet człowieka w eleganckim ubraniu, z kwiatkiem w butonierce a nagą czaszką, usiłującego zachować pozory zdrowia i młodości dla ludzi, bo nadto wiele miał doświadczenia, aby siebie ludzić. I nie go też z życiem nie wiązało. Ulubionym frazesem „głupie życie“ zamykał sobie drogę, do podźwignięcia się moralnego, do wyswobodzenia z tej karygodnej bezsilności, która się wżarła w jego istnienie, krępując polot myśli, ubezwładniając ciało.

Malski nudził się zimą przy kominku, a latem na słońcu wygrzewał swoje bezkrwiste ciało, drwił z rzekomej uczoności żony, a jeśli go niekiedy coś jeszcze ożywiło chwilowo, to polemiki z miejscowym plebanem, któremu na temat nieśmiertelności duszy i wiary w życie pozagrobowe takie poglądy rozwijał, że ksiądz ze zgrozą uszy zasłaniał i obowiązkowe zajęcie w parafii zaliczał.

Po za tem Malski był w domu cichy i nie wiele miejsca zajmował.

Do pani zwracano się nawet ze szczegółami gospodarskimi, pani rządziła i kierowała wszystkim.

„Jasnie pani prosi, aby jasnie pan przeszedł do salonu“—rzekł mu służący, gdy karetą Krasnohorskich zatrzymała się przed pałacem.

To było wystarczającym. Wprawdzie miły zapach, jaki w oranżeryi panował, i cisza usposobiły go do poobiedniej drzemki, ale skoro pani ząda, aby powitał gości...

— Bardzo mi przyjemnie—mówił w kilka minut potem, całując rękę p. Krasnohorskich.—Kamilla wspominała często... Pani prezesowa na mieszkańców Krzemienia nie łaskawa.

Nie czekając odpowiedzi, zwrócił się do panien.

— O!—wyrzekł powoli, okiem znawcy oceniając ich piękność—jakaż niespodzianka! Czołem, czołem przed wami, piękne panie!

Blade, wyblądłe jego źrenice spotkały się z ognistym, badawczym spojrzeniem Janki. Na krótką chwilę błysnęło w nich drobne światelko, zamigotało i zagasło.

— Nawiedza mię niekiedy żal, po utraconej zdolności odbierania wrażeń—mówił przewlekłym, monotonnym głosem.—Cóż, kiedy życie jest tak głupie, jeżeli panie pozwolą być szczerym...

Pani Helena przerwała szybko dalsze zwierzenia.

Amelka, pociągnęła Janię ku oknu, z kądem widok był prześliczny na rzekę i góry lasem pokryte. Jania z trudnością śmiech tłumiała.

— Kamillea pisze...—opowiadał Malski, opadając w fotel, obok p. Heleny stojący.—Ona mówi, że to jest jej powołanie... Wierzę na słowo! Nie czułem nigdy ochoty do wdzierania się w autorskie tajemnice mojej żony...

— O czemuż pisze pani Kamilla?—spytała p. Krasnohorska, aby podtrzymać rozmowę.—Dużo kobiet bierze się teraz do pióra...

— Powiem pani łaskawej—uśmiechnął się sztydersko Malski, że one się już teraz do wszystkiego biorą... dopóki oczywiście nie nastąpi jakiś punkt zwrotny... Czasy są jakieś niezdrowe, sprzyjają bujnemu rozwojowi fantazyi, ta podsyca nerwy, nerwy niszczą organizm i—nie mamy już zdrowych, mocnych kobiet.

— Któreby wspierały kroki zniedołężniałych, schorzałych mężczyzn...—ozwał się srebrysty głos wchodzącej do salonu p. Kamilli.—Vous avez complètement raison mon cher!—dorzuciła z cichym śmiechem, przechodząc koło męża tak nieuważnie, że koronkowe wolanty od jej błękitnych fularowych rękawów owinęły mu się prawie w koło szyi.

— Przebaczenia!—mówiła pieszczotliwie piękna pani, witając Krasnohorską.—Piszę wówczas tylko, gdy mam natchnienie; zbyt wysoko stawiam autorskie powołanie... Dla tego nie wybiegłam zaraz na powitanie miłych gości...

Seisnęła rękę p. Heleny, szukając spojrzeniem prezesa, jakby nie widziała zbliżających się ku niej panien.

— Córkę moję!..—przedstawiła p. Helena zaambarasowane nieco panienci.

P. Kamilla z wdziękiem szkiełko do oczu poniosła.

— Prezes nie przesadził, opowiadając mi o piękności swoich córek...—rzekła, siłąc się na uprzejmość. Nienawidziła kobiet, któreby mogły rywalizować z nią urodą lub wykształceniem.

— Mąż mój patrzy na dzieci przez pryzmat przywiązania ojcowskiego—ozwała się p. Helena, niemile dotknięta brakiem taktu ze strony gospodyni.

— O! jesteśmy przecież przyjaciółmi...—szepnęła p. Kamilla.—Prezes ze swoim afektem ojcowskim nie potrzebował ukrywać się przede mną... Louis!—zwróciła się do męża nagłym niecierpliwym ruchem—czy nie czujesz się orzeźwionym? Widok wiosny wcielonej w takie piękne kształty powinien zbudzić cię z apatii...

Malski ocknął się. Krótka z p. Heleną rozmowa, wyczerpała go. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, podniósł się leniwie i wyciągnął ku Jani chudą, żółtkłą ręką z elegancką cygarnicą.—Pardon! szepnął ospale.—Zapomniałem.

Jania wybuchnęła śmiechem. Żywa, jak iskra, dziewczyna nie potrafiła dłużej nad sobą panować.

— Cygaro? Ależ ja nie palę!..—mówiła serdecznie rozbawiona.—Zkąd panu myśl podobna?

Malski patrzył na nią. Szczery, dźwięczny śmiech młodości sprawił mu w pierwszej chwili uczucie niezbyt przyjemne... Tak, jakby go kto za uszami piórkiem łaskotał... Wprędce atoli oswoił się... Na wyniszczonej jego twarzy pojawił się błady, głupowaty uśmiech... Czego bo ta piękna panna tak wesoło się śmieje?.. Życie takie głupie...

Nie rozwiązawszy oczywiście kwestyi, schował cygarnicę do kieszeni.

Pewnym będąc, że obowiązkom grzecznego gospodarza uczynił zadość, opadł powtórnie na fotel i przymknął oczy. Zmogła go senność.

P. Kamilla wzruszyła ramionami.

— Gdyby nie moje autorskie zajęcie...—szepnęła ławym głosem, okiem w stronę męża rzucając—gdyby nie wyższe posłannictwo wskazania kobietom—niewolnicom dróg szerszych, łatwiejszych, gdyby nie ta moralna podstawa, że się tak wyrażę, życie moje byłoby ciężkiem...

Westchnęła, p. Krasnohorska spojrzała na nią surowo.

— Życie może być ciężkiem wówczas, gdy nie czujemy, że jesteśmy komuś potrzebni...—rzekła. Pani ma przecież taki miły, serdeczny obowiązek ulżenia cierpień mężowi, który bezwątpienia się i otuchę czerpie w przywiązaniu pani...

P. Kamilla skośne spojrzenie rzuciła w stronę usypiającego małżonka.

— Przekonałam się—odezwała się z leciutką ironią—że kobiety, mające mężów zdrowych i wesołych, bywają niekiedy bezwzględnie niewyrozumiałe dla mniej hojnie obdarowanych. Czy córki pani ukończyły już pensję? Takie słuszne panny!

Przypatrywała im się znowu impertynentką i zagryzała mocno czerwone wargi.

— Młodsza może stać się niebezpieczną dla płci słabej...—rzekła pół-głosem do p. Heleny.

Mężczyzn nie nazywała inaczej, od kiedy pisać zaczęła wielkie dzieło o „wyższości ustroju kobiecego“.

P. Helena uśmiechnęła się.—Nie sądzę—odparła spokojnie.—Córki moje są wychowane po domowemu i bynajmniej nie życzę ani sobie, ani żadnej z nich, aby błyszczały w salonach i zbyt wielkie znaczenie do holdów przywiązywały...

Podano wino, ciasta, owoce.

— Jakże ona jest piękna...—szepnęła Jania Amelce. Oryginalna uroda!

P. Kamilla stała właśnie na środku salonu, wydając rozkaz jakiś lokajowi. Błękitna, fularowa suknia, mgłą delikatnych koronek pokryta, uwidniała przepyszną białosć cery i ślicznie odbijała od złocisto-rudych włosów, które w bogatych lokach i karbach, okalały foremną, małą główkę. Oczy piwne, głębokie, o białkach czystym błękitem zabarwionych, o długiej złotawej rzęsie, patrzyły na świat w pół ciekawie, w pół dziecinnie a słodko. Usta małe, ślicznie zarysowane, odpowiadały spojrzeniu i uśmiech wdzięczny, o srebrnym, metalicznym dźwięku. Wszystko było w niej słodyczą, harmonją, wdziękiem. A jaka postawa wspaniała, jaki wdzięk w każdym ruchu!

Piękne, pulchne ramiona, ręce i szyja o klasycznych konturach olśniewały białoscią, zróżnicowaną lekko krwią zdrową i świeżą.

Trudno byłoby wiek p. Kamilli określić. Nizkie, gęsto włosami zarosłe czoło, pokryte chmurą złocisto-rudych loczków, gładkie było i białe; oczy pogodne i uśmiech pogodny.

Patrzęca na nią z uwielbieniem Jania byłaby uroczyście zapewniała każdego, iż to jest piękność wiosenna, dziewczęca nieledwie, tak wszystko w tej kobiecie przejrzyste było, białe, lekkie, powiewne...

— Śliczna!—powtarzała. Ach, jaka śliczna!—I Amelka była tego samego zdania, ale umiała nad wrażeniami panować.

Malski, niezbyt słodko przebudzony przez małżonkę, miledząc uczestniczył przy podwieczorku.

Po kilku kieliszkach wina, które obojętnie wypijał, krew mu się trochę rozgrzała i przysiadł się do Jani. Pociągały go iskrzące się wesołością oczy dziewczyny, pociągała młodość i energia...

— Czy pan jeździ konno?—pytała rozweselona Janina.—Ojczulek nam obiecał, że hrabia Kolski nauczy nas konnej jazdy. Hrabia Kolski podobno jest znakomitym jeźdźcem.

Leciuchny różowy obłoczek przemknął po alabastrowej twarzy p. Kamilli.

— Kolski bawi w Zarzeczu?—spytała obojętnie na pozór, ale w piwnych oczach zapaliły się złotawe iskielki i słodycz zniknęła, ustępując miejsca namiętnej ciekawości, z jaką wpatrywały się kolejno w twarz p. Heleny i jej córek.

O tem, że hrabia wdychał niegdyś platonicznie do prezesowej, wiedziała, a patrząc na dumną, szlachetnie piękną jej postać, zadawała sobie pytanie, czy to ona wskrzesiła w sercu Brunona niewygasłe



uczucie, czyli która z tych pięknych, świeżych dziewcząt wzbudziła nowe?..

— Spodziewamy się wkrótce hrabiego Brunona — obojętnie mówiła p. Helena.

Cierpki uśmiech pojawił się na licach pięknej pani. Była już znudzona towarzystwem kobiet, tak różniących się od niej usposobieniem i pojęciami...

Zaproponowała spacer.

Wieczór był piękny, pogodny. Łagodny wiatr południowy przynosił woń kwiatów z rozległych ogrodów, pałac okalających, i szum fal, płynącej opodal rzeki. Na przeciwległej stronie, słońce zsuwało się z wolna za ciemno-zielone jodły, sosny i buki, zarastające wierzchołki łańcucha wzgórz, rysujących się na widnokręgu.

P. Kamilla własną, wypieszczoną rączką zerwała śnieżne kielichy lilij i ofiarowała pannom. Natomiast ciemno-purpurową wspaniałą różą przyozdobiła białe koronki swego stanika i złocisto-rude włosy.

Nad wyraz słodka i uprzejma, rozmawiała dużo z Amelką, trzpiotała się z Janią i wreszcie zaczęła o kwestyę, żywo interesującą dziewczęta.

— Kobieta, — mówiła piękna pani, zapalając się przedmiotem — zdobywa coraz wybitniejsze stanowisko w społeczeństwie. I słusznie. Skoro wykończę pracę moją o „scharakteryzowaniu ustroju duchowego kobiety“, przekonam dowodnie sceptyków, płci naszej niechętnych, że mózg niewieści posiada te same własności, co mózg męzki. Posiadamy o wiele wyższą od mężczyzny subtelność i bystrość, a dowodzenia, że umysł nasz pozbawiony jest głębokości i rozciągłości, są wprost objawami trwogi. Płec męzka w istocie rzeczy słabsza jest od naszej... Ztąd wpływa antagonizm, utrudnianie nam zdobycia owej równości i samodzielności, do których dążymy i wbrew wszystkiemu, dążyć powinniśmy. Ach, swobody, swobody słowa i czynów! — dokończyła z entuzjazmem — Oby spadły jak najprędzej okowy, krepujące nasz polot...

— Czy sądzisz pani, że przez owo wyzwolenie się z kobiecości, kobieta osiągnie szczęście? — spytała spokojnie p. Helena.

— O tak! — zawołała z błyszczącymi oczyma. — Jestem tego pewna!

— Ależ to, co pani chcesz dla kobiet uzyskać, jest najzupełniej sprzeczne z naturą niewieścią — zauważyła p. Helena. — Gdy się je pozbawi cech właściwych, nastąpi zwyrodnienie. Areną życia kobiety jest przedewszystkiem dom rodzinny, wychowanie dzieci, współczucie i słodki wpływ na męża, który po trudach obowiązkowych potrzebuje mieć przy boku towarzyszkę rozsądną, łagodną, uprzyjemniającą drobnymi wygodami i uciechami domowymi, często nużącą pracę zawodową, lub nieodłączne od życia kłopoty.

— Al! więc pani wymagasz poświęcenia, oddania się bezwzględnej, słodczy, ale tylko z jednej strony — oburzyła się p. Kamilla. Strona przeciwna, raczy nam za to wywzajemniać się brutalnym obejściem, zdradą i fałszem. Sliczna kompensata.

Czarne, inteligentne oczy p. Krasnohorskiej zamigły się wzruszeniem. Odwróciła się szybko.

Trudno było nie przyznać słuszności pewnej dowodzeniu p. Kamilli. Więc ogarnął ją smutek wielki, bo czyż ona właśnie nie była jedną z tych, którym za najczystsze uczucie płacono obojętnością i zdradą? Czyż i ona nie miała w życiu swoim chwil takich, kiedy oburzenie nasuwało jej myśli i zarzuty podobne tym, jakie głośno wyjawiała teraz p. Kamilla?

— Nie zmienisz pani porządku rzeczy — rzekła wreszcie, budząc się z zadumy. — Kobieta, zgodnie ze swoim powołaniem, jako małżonka, jako matka, musi spełniać obowiązki swoje, bez względu na to, czy druga strona zespoli się z nią myślą i uczuciami.

Tu już Jania, z iskrzącymi oczyma przysłuchująca się rozmowie, nie mogła się powstrzymać.

— Mateczko! — zawołała namiętnie. Gdyby kobiety miały więcej stanowczości i energii, gdyby od razu po ślubie krótko a treściwie zapowiedziały mężowi, czego dla siebie wymagają i ani na jotę nie odstąpiły od tego, mężczyźni musieliby zastosować się...

P. Kamilla wyciągnęła ku mówiącej rękę. — Bravo, brawo p. Janino! — wołała wśród śmiechu, ścis-

kając dłoń dziewczyny. — Ot, czego nam potrzeba! Z radością witam w pani pomocnicę, a może następczynię moją... Wykazać mężczyznom ich słabość, zarozumiałość, z pomocą równej umysłowej wyższości zająć wysokie stanowiska w społeczeństwie, a zaraz ci panowie liczyć się z nami zaczną...

Ale Jania potrząsnęła energicznie głową i co prędzej wycofała rękę z uścisku.

— O nie, pani! — rzekła z bezwzględną szczerością. — Brzydzę się emancypacją w tym kierunku, w jakim pani jej hołduje... Ja chcę jedynie, aby kobiety więcej były szanowane i kochane... Czyż nie tak, Amelciu? To był temat omawiany najczęściej w naszych wieczornych pogawędkach na pensyi... Zdaje mi się, że ja potrafiłabym.

Zawahała się i zarumieniła...

— Ujarzmić mężczyzn? Cha, cha! — wybuchiła śmiechem p. Kamilla. — Uroczą naiwność! — Przyłożyła machinalnie szkiełko do oka i zmierzyla nienawistnym spojrzeniem wysmukłą, wspartą o pień lipy dziewczynę, której ciemne oczy gorzały wewnętrznym ogniem, czoło podnosiło się dumnie.

— Cobyś pani potrafiła? co? — nalegała p. Kamilla, i szyderczy uśmiech zeszedł z jej ust. Czula instynktownie, że jeśli Krasnohorscy córki swoje przedstawiały w salonach w nadechodzącym karnawale, piękna, uwielbiana dotąd królowa, ustąpić musi pierwszeństwa nowo wchodzącej gwiazdzie.

Amelka ze swoją powagą wydała jej się mniej niebezpieczną...

Przybycie ojca i kilku osób z sąsiedztwa uwolniło Janię od odpowiedzi.

Nastąpiły powitania; zjawił się rozespany Malski, w salonie zapalono światła.

Piękna gospodyni czarowała wdziękiem i tak zręcznie manewrowała, iż panowie musieli wciąż nią być zajęci.

P. Helena była poważną i milczącą. Kamilla, kokietując prezesa, wyzywając innych, rzuciła triumfujące spojrzenia wokoło i zdawała się bawić wysmianiem.

Jania badawczym wzrokiem śledząc wszystkich, zauważyła dziwny wyraz na twarzy Malskiego. Im więcej trzpiotała się p. Kamilla, tem on uparciej patrzył na nią. A gdy wzrok jej skrzyżował się ze wzrokiem męża, Jania widziała wyraźnie, jak w tem starem migotały złowieszczo piwne, błyszczące namiętnym ogniem żrenice Kamilli.

— Amelko! — szepnęła siostrze znudzona i zniechęcona. — Czy ta nieźnośna wizyta nigdy się nie skończy? Patrz tylko: pantera w skórze owieczki!.. Mama wydaje się bardzo zmęczoną...

Amelka z westchnieniem spojrzała na matkę; Jania usunęła się w przeciwny kąt salonu. Gwar i śmiechy dochodziły tam łagodniej i nie przesładowało ją tęskne, natrętne spojrzenie hrabiego.

Podjęła francuski dziennik i napotkawszy ciekawy artykuł, czytać zaczęła. Wtem p. Kamilla wionęła swoimi koronkowymi wolantami i delikatnym zapachem heliotropu i szukając jakiejś nowej broszurki, którą chciała prezesowi pokazać, stanęła przy stoliku.

— Chcę pana przekonać — mówiła do zbliżającego się za nią prezesa — kobiety dożywają późniejszego wieku aniżeli mężczyźni. Nawet w takiej ważnej kwestyi mamy przewagę nad wami...

— To się łatwo da wytlómaczyć — rzekł, uśmiechając się prezes. Wytrzymałość płci żeńskiej czerpie źródło w spokojnych warunkach bytu, jaki jej zapewniamy, i...

— I? — podchwyciła ciekawie piękna pani.

— I w słabym odczuwaniu wrażeń — szepnęła znacząco.

Tu zaszła mała scena, która niestety! nie uszła oka przerażonej Janiny. Przy poszukiwaniu owej broszury, Jania widziała, jak p. Kamilla pochyliła się, jak drżały przyspieszonym oddechem poruszone koronki stanika i opadła ukryta w ich fałdach ciemno-purpurowa róża, pochwycona namiętnie przez jej ojca i na piersiach złożona.

Czy to sen? Jania nie była zdolna poruszyć się, ani myśleć. Czula tylko mocne bicie serca, szum w uszach i niepojęty zamęt w głowie.

— Pokażę pani rzadką kolekcję kamelij — ozwał się Malski, podając jej z galanterią ramię. I poprowadził ją do oranżeryi z pośpiechem, o który nigdy przedtem nie byłaby go posądziła.

— W świecie roślinnym nie znajdziesz pani przynajmniej fałszu i zdrady — mówił z dwuznacznym uśmiechem, a w oczach zapaliły mu się znowu blade iskry. Ulubiona zwrotka: „głupie życie“ wybiegła mu na usta.

— Usiądź tu pani, odpocznij... — prosił, wskazując ukrytą w zieleni rozłożystych roślin ławeczkę. — W salonie było za gorąco! Nieprawdaż?

Nie odpowiedziała. Z wdzięcznością ukryła swoją znękaną twarz pomiędzy liśćmi, zdala od tych dwojga, którzy czynem lekkomyślnym, może nawet bez wielkiego dla nich znaczenia, zburzyli w młodej duszy świątynię prawdy i moralnego piękna, zasiali gorzkie ziarno niewiary.

Że Malski odgadł, co się z nią działo, że dojrzał to, co i ona dojrzała, nie wątpiła ani na chwilę. Zaspiane jego oczy świeciły jakimś fosforycznym blaskiem, nerwowe drganie ścigało kureczowo żółtą na powiekach skórę, ręce mu drżały...

W parę godzin potem, w wybornym humorze porwujący do domu Krasnohorski pieścił i otulał żonę w karecie, żartował z córkami.

P. Helena z poddaniem znosiła te czułości małżeńskiej objawy i nie przeczuwała wcale, że siedząca naprzeciw niej Janina ciężką boleścią okupuje w tej chwili pierwsze doświadczenie w życiu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 2 Stycznia.

Tradycy stało się zadość: uczeiwie oddano hołd wesoło przedstawiającemu się gościowi, nazwanemu 1896 rokiem. Bawiono się hucznie, a gwar i ruch na ulicy doszedł wczoraj około godziny trzeciej do swego kulminacyjnego punktu. Damy i dzieci szczęśliwie już przeszły ową gorączkę oczekiwania: ziszczyły się ich sny i marzenia pod postacią upominków noworocznych. Bogata inwencya galijska stworzyła ich taką obfitość, że mogą zadowolić najwybredniejsze wymagania i najfantastyczniejsze pragnienia. Dodawszy do tego pyszne miejscowe i niejejskie kwiaty, cukierki, książki i zabawki, to potężna kolekcya upominków najodważniejszego przestraszyć może. A jednak musimy zastosować się do przyjętych tu zwyczajów.

Na bukiety noworoczne używają róż, gwoździków i mimozy, przybranych gałązkami jemioli i ostrokrzewu, albowiem te dwie rośliny jakoby mają przynosić szczęście. Pieczone świętecznego obiadu składa się według tradycy z indyka pieczonego, nadziewanego trufkami i przystrojonego różami, lub też z prosięcia z różowym jabłkiem w pyszczku. Zaproszono mnie nawet na obiad, gdzie równocześnie podano obie te symboliczne potrawy, ale też na nim dowiedziałem się, że zwyczaj ten zaciera się coraz bardziej: zazwyczaj poprzestają na strojnym w różę indyku, nadziewanym trufkami.

Jednem słowem bawimy się jeszcze po świętecznemu a i karnawał obiecuje być bardzo ożywionym i tanecznym. Zanim zacznie wtajemniczać czytelnika w detale paryskiego karnawału, chcę pomówić o książkach gwiazdkowych (livres d'étrennes) ponieważ wiele z nich ukaże się zapewne w przekładzie na półkach księgarskich w Warszawie w roku przyszłym.

Co można powiedzieć o tutejszych książkach gwiazdkowych, a przynajmniej o większej ich części, najlepiej tego dowiedzieć mała charakterystyczna scena, w której sam brałem udział.

Przed paroma tygodniami zaszedłem do jednej z ruchliwszych księgarni. Właściciel jej i dobry mój znajomy, był właśnie zajęty układaniem stosów rozmaitego koloru jaskrawych wydawnictw, przybranych w sukienki niebieskie, różowe, zielone i wiele innych barw i odcieni, niekiedy lśniących od złotych napisów. Pomimo tak wesołego widoku, mina pochłoniętego pracą księgarza wydała mi się niezwykle niezadowolona.

— Co się panu stało? czemu pan dziś taki kwaśny? Przecie gwiazdka to wasze żniwo!



— Mój panie, łatwo to o żniwie opowiadać, ale mnie co rok lichy bierze na tę przeklętą gwiazdkę. Przewracaj sklep do góry nogami, wyrzucaj na strych porządne dzieła, aby miały się gdzie pomieścić te różnobarwne bzdurstwa, te strojne i pozłacane banialuki.

Jakże można tak wyrażać się o książkach, których z taką niecierpliwością oczekują nasze dzieci, które dają im nietylko wielką rozkosz ale i niezaprzeczony pożytek.

Stary księgarz spojrział na mnie z politowaniem.

— Więc pan wierzy w pożytek z książek gwiazdkowych?

— A naturalnie; tak samo jak wierzę w dobroć cukierków Boissier'a i czekoladek Marquis'a, jak wierzę w przyjemność oglądania strojnych baraków bulwarowych, i pożytek bajek p. Ratisbonne'a lub romansów Ohnet'a również wierzę w tradycyjną wartość wydawnictw gwiazdkowych.

— E, to pan się zna na rzeczy nie lepiej od tysiąca innych... Niechno się pan przyjrzy tej książce—dodał z niecierpliwością, podając mi grube, wspaniale oprawne dzieło.—Wszystko tandeta, obliczona na błagę. Dobra książka powinna mieć dobrą treść i dobry materiał. A tu co? Treść marna, znana, kilkakrotnie odgrzewana; rysunki niebdałe. Czy to jest porządny papier? A ta piękna oprawa i tygodnia nie wytrzyma... A to wszystko przez tę nieszczęśliwą konkurencję: za 3 franki chcą dać to, co powinno być warte dwadzieścia.—Tak panie, ruina nas czeka, niezawodna ruina!

Starąłem się uspokoić mego interlokutora, tak pesymistycznie usposobionego, ale po namyśle przyszedłem do przekonania, że ma wiele słuszności. Taki stan rzeczy jest cechą naszego wieku, który kamień, żelazo i marmur zastąpił masą papierową, a misternie rzeźbione drzewo odciskami gipsowymi.

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Obok prac, przeznaczonych na przynętę dla publiczności, przybyło nam kilkanaście doskonałych dzieł. Hachette, Quantin et May, Firmin-Didot, Armand Colin, Delagrave, Masson, Baschet, Hetzel, Flammarion, Plon, la Librairie Illustrée — wszystkie te znakomite firmy księgarskie podtrzymują starodawną reputację.

Wymienię niektóre z wydawnictw powyższych firm.

Na pierwszym miejscu kładę *Grand siècle* Emila Bourgeois, czyli przegląd epoki klasycznej z 50 rysunkami, wykonanymi podług wzorów ówczesnych. Dalej *Paris de siècle en siècle* Robidy, do wcielnego rysownika, *Album Mars'a i Craft'a*, *La Nature* Tissandier'a, *Nos bêtes d-ra* Beauregard'a z treściwym tekstem i pięknymi kolorowymi rytykami, *Album géographique* Dubois et Guy, *Album historyczny* Parmantier'a, *Le soldat français* Chaperon'a, *Gout dans l'ameublement* Nousanne'a i wielu innych pisarzy, oddających się literaturze dziecięcej.

Jest tedy w najświeższej literaturze gwiazdkowej wiele dobrego, ale cała sztuka trafnego wyboru polega na tem, aby umieć odróżnić ziarno od plewy.

Z teatru znów jest do zaznaczenia kilka nowości.

Pierwszą z nich jest *Fredegonda*, opera Guiraud'a i Saint-Saënsa. Trudno rozstrzygnąć, do kogo właściwie należy muzyka we „Fredegondzie”. Umiejętnie rozłożona instrumentacja nie sprawia jednak głębokiego wrażenia. Duety i tria przechodzą bez szczególnego wzruszenia słuchacza; chóry nie posiadają żadnych cech oryginalności. Pięć długich aktów, urozmaiconych wspaniałymi dekoracjami, toczy się na tle zawiślań politycznych i miłosnych w gronie odwiecznych książąt frankońskich. Wykonanie wokalne *Fredegondy* nie podniosło wielkości sztuki. Pod dyrekcją Taffanego jedynie orkiestra opery dzielnie przyczyniła się do uświetnienia dzieła Saint-Saënsa. Publiczność pomyliła to przyjmowała nowe dzieło owacyjnie.

W Gymnase wystawiono nowy czteroaktowy utwór sceniczny Wiktoryna Sardou — *Marcella*. Wskutek dzisiejszego wymagania, aby treść głębiej była pojęta, sztuka nie zrobiła odpowiedniego wrażenia. Historia młodej, mylnie potępionej dziewczyny rozgrywa się wśród nieprawdopodobnych okoliczności. Wszystkie osoby, oprócz baronowej, matki młodzieńca, zakochanego w bohaterce sztuki, są bardzo pobieżnie naszkicowane. Tylko zalety techniczne ocaliły sztukę od zupełnej zagłady; znać bowiem, że to gmach, wzniesiony ręką doświadczonego praktyka. Z całej sztuki akt drugi najsilniej zaakcentowany. W akcie czwartym ostatnia scena, rozwiązująca dopiero dramat, za mało posiada siły. Przytem i obsada sztuki pozostawia wiele do życzenia. Oprócz roli baronowej, znakomicie odegranej przez panią Pasca, wszystkie inne role zawiodły oczekiwania. Rola heroiny w osobie pani Jane-Hadding sprawia jaknajgorsze wrażenie. Artystka roli tej zupełnie nie pojęła i ani jeden wyraz z ust jej nie wyszedł nacechowany prawdziwym akcentem. Tak stworzona główna postać sztuki musiała wywrzeć wpływ ujemny na powtórzenie całego dzieła.

Teatr Wolny dał nowy a wstrząsający dramat P. Adama i A. Picarda p. t. „*Miedz*.” Pierwszy z nich to znany autor z *Revue blanche*. Zadaniem sztuki jest wypowiedzenie głośno swego oburzenia na cheiwość spekulantów, trzymających w ręku losy tysiąca ludzi. Przytem chciał autor wprowadzić nową technikę do sztuki dramatycznej, malując śmiałymi rzutami pendzla pewną grupę społeczną zamiast pojedyncze charaktery. Strona ta jednak nie zupełnie umiejętnie została wyzyskana: brak jej równości, jasności, a najbardziej scenicznej perspektywy. Za to częściej tendencyjna robi bardzo silne wrażenie; szkoda tylko, że wystawa i siły aktorów nie są dodatnimi czynnikami do podniesienia sztuki.

Widocznie nowy dyrektor teatru p. Larothele nie zebrał jeszcze tak dobrej trupy artystów, jaką miał zawsze w Wolnym teatrze były dyrektor Antoine.

Znaczeniem i długiem powodzeniem cieszyć się zapewne będzie nowa operetka w stylu Ofenbachowskim p. t. *Kapitol*, wystawiona w teatrze Nouveautés. Jest to znów wskrzeszenie jakiejś odległej starożytnej epoki z fantastycznymi osobami. Libretto stworzyli pp. Paweł Gerrier i Karol Clairville. Muzyka bardzo ładna i wcale artystyczna Gastona Serpette'a. Gra artystów doskonała.

W Porte-Saint-Martin wznowiono *Fanfan la Tulipe*, dawną sztukę Pawła Meurice. Popularnego i jowialnego żołnierza gra Jan Cequelin z werwą i humorem jemu właściwym. To też owacjom nie było końca. W akcie pierwszym ukazanie się artysty na ulubionym koniu odrazu rozentuzjzmowało publiczność. Dalej idzie pyszna scena z markizą Pompadour, a nareszcie i wszystkie patetyczne kuplety zrobiły prawdziwą furorę. Wielokrotnie przywoływano Cequelin'a; inni artyści starali się utrzymać na wysokości swego zadania.

Sensacyjny dramat wyciągnięty z romansu Bouvier'a „*La belle Gréllée*,” a wystawiony w teatrze de la Republique, zakończy nowości sceniczne ubiegłego miesiąca.

Prawdziwie także sensacyjnym dramatem była śmierć młodego żołnierza, milionera Lebaudy'ego, zmarłego w zeszłym tygodniu. Młodzieńca tego można słusznie nazwać ofiarą obecnych społecznych stosunków Francji. Była to figura znana całemu wesołemu Paryżowi. Szczypliwy, drobny, słabowity młodzieniec, wcześniej odziedziczywszy znaczną fortunę, zaczął hulać i naturalnie przehubał nieciegłe zdrowie. A tu przyszła służba wojskowa, której musiał się poddać, a której przy takich warunkach zdrowia nie mógł poddać. Wkrótce więc siły wyczerpał i choroba owdziała nim na dobre. Gdyby to był syn zwykłej mieszczańskiej rodziny,

wszystko byłoby poszło zwyczajnym trybem: lekarze wojskowi odesłaliby do domu kandydata niezdolnego na żołnierza. Niestety stało się inaczej, bo kandydatem był głośny milioner, który miał dość pieniędzy na to, aby go na żądanie ze zdrowego zrobiono chorym. Z obawy przed opinią publiczną, aby nie zarzuciła przekupstwa wojskowym lekarzom, a przez nich tego samego całej armji, postanowiono wywrzeć surowość militarną na biednej milionowej ofierze. A ofiara ta wynędniała zblamowany *zdechlaśzek* naprawdę był godnym pożałowania, bo rzeczywiście chorym. I zapłacił życiem za obawę cienia na honorze armji. Czyż tego było armji potrzeba? Czyż potwarz może uchylać sprawiedliwym? Prawda, że niejednokrotnie srogie i okrutne są następstwa oszczerstwa; nigdy ono jednak długo się nie osto, jeżeli nie ma ku temu jakiejś rzetelnej podstawy. Umysł, rozdrażniony rozmazywaniem po pismach różnych skandalicznych potwarzy o przekupstwach, muszą bardzo ściśle analizować każdy swój czyn z obawy zarzutów; mogą więc w rachowaniu się z opinią publiczną zatracić zimną krew i postępować z pewną chwiejnością, ale taki stan ducha najmniej właściwie armji przystoi.

Różne ploteczki krążyły po mieście co do kandydatów na jeden z czterech wakujących foteli w akademji francuskiej. Wymieniano Edwarda Goncourt'a i Alfonsa Daudet'a; sądzono dalej, że może Zola otrzyma nieśmiertelność. Nareszcie ciekawość została zaspokojona: wybrano Henryka Houssaye'a, sławnego romansopisarza. Zwykła ironja, cechująca przyjęcia nowych akademików zamilkła na ten raz. Przyjmował nowego członka mową F. Brunetiere. Odpowiedź Houssaye'a wszystkim się bardzo podobała: mówił naturalnie o zmarłym swoim poprzedniku Leconte de Lisle'u.

Plotki o prezydencji i sprawa Arton'a ciągle jeszcze zajmują umysły paryżan.

C. H.

## Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż ministerjum skarbu wydało rozporządzenie do wszystkich kas gubernialnych, kantorów i oddziałów banku państwa, aby przy pobieraniu należności od interesantów przyjmowane były obowiązkowo ruble srebrne dawnego stempla, chociażby z wieku zeszłego, byle tylko nie były zbyt wytarte, lub uszkodzone.

— Książę Jerzy Radziwiłł, prezydujący w komisyi gromadzenia funduszków w zarządzie Towarzystwa osad rolnych, zamierza urządzić jak i lat poprzednich w poście szereg prelekcji na rzecz Towarzystwa osad rolnych, oraz jego zakładów w Studzieńcu i Puszczy. Prelekcje te wygłoszą p. p. Stanisław Bełza, Edmund Jankowski, Aleksander Kraushaar, D-r Henryk Nussbaum, D-r August Fabian, Karol Dunin, I. M. Kamiński, Maryan Gawalewicz, Antoni Pilecki, Adolf Peplowski.

— Wystawa dzieł sztuki ze zbioru hr. Milewskiego urządzona w Wiedniu, a zawierająca 50 obrazów naszych współczesnych malarzy, przedstawia się bardzo efektownie i sympatycznie. Hrabia jest znawcą w tym kierunku; wystawa zwróciła też w stopniu wysokim uwagę wiedeńczyków i wykazała im niepospolite znaczenie malarstwa naszego.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszezu*” dołącza się: powieść *Czy to miłość?* przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, t. II, ark. 1 i 2.

**TREŚĆ:** Dzieci na wystawie higienicznej w Warszawie, przez Wł. Nowickiego. — Pogawędka, przez ?? — Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Nowiny paryżkie, przez C. H. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Czy to miłość?* powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego tomu II-go, ark. 1 i 2. Przegląd mód. 17 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 3 Января 1896 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.